

Bolesław Jabłoński

część III z V

Sygnatura notacji: **N0048**

Data urodzenia: **14.07.1937 r.**

Data nagrania: **24.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otrębusy, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 57 min, część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część VI: 48 min, część V: 86 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bolesław Andrzej Jabłoński: Jak wyjeżdżaliśmy z Antarktydy... – I ta załoga... – Było tak, że się nie zgodzili. – Tak, tak. Ale nawet mało tego, jak zaczęły się te wypadki w kraju, te różne strajki, a ja wiedziałem i chłopakom mówiłem, co się dzieje, bo co tydzień miałem w języku niemieckim, angielskim, francuskim i hiszpańskim nasłuch z radiostacji na taśmie, którą mi dawali koledzy z chilijskiej stacji. Więc wiadomo było, co się w kraju dzieje. I tenże Szaszyk też powiedział, że wtedy rząd się za bardzo pieprzy, trzeba było zrobić tak jak w 1976 roku. I tutaj już kilku kolegów było z Trójmiasta. To już było za dużo. Efekt był taki, że jak on przychodził do stołu, to myśmy wszyscy wstawali i wychodzili. Tak że on musiał jeść wtedy, kiedy już myśmy zjedli albo kucharz mu do kabiny przynosił. I ta krecha na moim życiorysie z tymi chilijskimi faszystami spowodowała, że przyjechał przed wyjazdem tajemniczy człowiek, który pracował w Akademii Nauk, nie wiem, na jakim stanowisku, ale przedtem był sekretarzem w naszej ambasadzie w Moskwie. I strasznie chciał, żebym go przeprowadził do stacji Chilijczyków, „Bo to wiesz, tak niedaleko, 40 kilometrów”. Ja się chętnie zgodziłem. Ale że wobec takich małp to jestem złośliwy, to wziąłem go między seraki i się chłopak zrobił prawie zielony, zaproponował, żebyśmy wrócili. Ale on tak nie potrafił się kryć, że jak już w drodze powrotnej przechodziliśmy przez Kanał Kiloński i stały okręty marynarki, Bundesrepublik, to robił zdjęcia. „Wiesz, bo się mogą przydać”. Tacy byli ludzie. I właśnie przyjechałem na polski grunt z takimi zmianami, i dosłownie zbaraniałem. Ale sprowadził mnie do parteru Kwieciński, bo powiedział tak: „Słuchaj, obawiam się najgorszego. Nie ma drugiego garnituru. Ludzie są tak zadufani w moc Solidarności, że za dużo mówią, a poza tym nie stworzono dwójki naszej w Solidarności. I twoim obowiązkiem jest chodzić na wiece, notować największych krzykaczy i w miarę możliwości orientować się, gdzie oni mieszkają, w ogóle jakieś bliższe dane o nich. – Bo ci krzykacze... – To byli sami swoi. Ja tu miałem nawet taką zabawną historię, bo przyszło młode małżeństwo, tutaj z tej ulicy Sygietyńskiego niedaleko i akurat żona miała jakąś

brozurkę przez...[wydawnictwo] Nową wydawaną, już nie pamiętam dokładnie. I brozurkę, przez którą puściłem, jeszcze przed pierwszą wyprawą swoich ludzi za Blumsztajnem. Bo on wziął to na Kieleckiej i chodził nigus pół dnia po Warszawie z paczką, to chodziło na plebanii w Wyszkanie. Jakby prosił, żeby go zatrzymali. I ta brozurka też leżała na stole. Ponieważ w tej konspiracji poakowskiej miałem sporo różnych kontaktów i kościelnych, więc doszło do mnie, że dwójka, małżeństwo biologów rozpowszechnia prasę nielegalną i książki, a to jeszcze było przed stanem wojennym, kiedy to niby można było. I to jest dywersja. Ja byłem tak głupio naiwny, że pojechałem do księdza Kantorskiego, powiedziałem mu o tym i myśleliśmy, że to chodzi o jakieś małżeństwo SGGW w Brwinowie, bo tam była stacja terenowa SGGW. Tak byłem pewien siebie. Tylko dobrze, że lubię porządek i dom był czysty. Tak że jak miałem tutaj wizytę pana, który był w ochronie rządu, to nic nie znaleźli. I tak właśnie dobiegnęliśmy do początków tego, co się stało w 1981 roku. Przy czym...

Artur Kłus: Bo jeszcze pan mówił o jednym elemencie, że przywożąc z jednej wypraw na Antarktydę sprzęt, musiał pan wymienić.

Bolesław Andrzej Jabłoński: Tak. Właśnie. Kiedy Kwieciński mi kazał notować tych krzykaczy, kazał mi jednocześnie budować tak zwany głuchy telefon. To znaczy porozumiewanie się na duże odległości ludzi bez telefonów i ja miałem takie kontakty za Małkinię, do leśniczówki, za Skierniewice, do cioci w Zakopanem nawet. Tak że w ciągu 7–9 dni tam szło i przychodziło. I to była bardzo ważna rzecz. Dlatego że jak były szlabany na granicy województw, to ktoś, kto traktorem jechał na pole, mógł się przemieścić, bo na pole jechał swoje. To pozwoliło mi jakoś zacieśnić przyjaźń z pułkownikiem Teligą, ale między innymi Kwieciński powiedział: „Słuchaj, to jakiś taki łopatologiczny sprzęt poligraficzny warto, żebyś zgromadził”. Więc ja powiedziałem, że mam wałek, ale nic nie mam, bo Lopkowi oddałem i matrycę, i powielacz. I powiedział: „To ja z Lopkiem załatwię, że on ci odda nasz powielacz”. I „Lopek” oddał, ale to już później. To już po stanie wojennym, w pierwszych dniach stycznia. Lopek mieszkał na osiedlu Orlik. Pojechałem z moim sąsiadem Kropielnickim tutaj, ten powielacz był w obudowie maszyny do szycia, singerowskiej. To było cudo. Wchodziło pół rzy papieru, powielacz brytyjski z chyba 1926 roku. Taki dla potrzeb pułku. Oczywiście hand work. I pojechałem na to osiedle Orlik. Pamiętam, że jak już zapakowaliśmy do Fiata powielacz, Lopek stał w oknie i krzyżem nas błogosławił, bo wtedy jednak patrole sprawdzały, co się dzieje. Niestety ten powielacz, już tak wybiegam w przyszłość, służył bardzo krótko, bo przed Wielkanocą, w 1982 roku, dostaliśmy za mało ulotek z regionu. To była nasza duża pierwsza akcja ulotkowa, ale taka o dużych rozmiarach i wtedy przekręciłem jeszcze ileś tam ryz papieru, które miałem jako zasób przygotowane do tego, co się miało dziać i popękały mi wałki po prostu. Potem koledzy z Politechniki mi te wałki mieli dorobić, ale niestety tego nie było. Miałem zupełnie inny. Ale jeszcze trzeba wrócić do tego, co się działo w tych napiętych dniach. – Otóż... – Jesteśmy w latach... – 1981 rok, późna jesień. Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, dzięki, że tak powiem, swoim ludziom z wojska, z Reduty, że musi być stan wyjątkowy i będzie jeszcze w tym roku. Dałem o tym znać moim przełożonym z Kedywu. Bardzo się tym zmartwili. Właśnie powiedzieli, żebym te swoje wznowił badania i bardziej intensywne prowadził. I zwrócił uwagę właśnie na inkasentów za energię elektryczną, śmieciarzy, listonoszy, bo było dużo agentów wśród tych ludzi. I jeszcze dzięki temu, że mieli uznanie dla mecenasa Siły-Nowickiego. On był tam w gronie tych, którzy status z premierem Olszewskim z Solidarności robili. W końcu Siła-Nowicki był ojcem chrzestnym któregoś z tych Wałęsiaków. To miałem informację, co się dzieje w tej końcówce. Otóż tak w końcu listopada były, czy w pierwszych dniach grudnia, były kontrowersyj-

ne zebrania góry Solidarności. Wiadomo było, że Kuroń chce zrobić jakieś kluby dyskusyjne, żeby osłabić, że w takim klubie był nicpoń Geremek, a on był pod naszą obserwacją cały czas i wiadomo mi było, że on poszedł w pewnym momencie do naszych władz w sprawie utworzenia nowej Solidarności podległej, i że to jest gnida komunistyczna. Słuchajcie, jeżeli człowiek w 50. latach jest wysłany jako attache do ambasady na zachód, a to jest placówka, która zbiera informacje, to musiała być tak zwana parafka Kremla. A poza tym ja byłem człowiekiem starej daty i wiedziałem, kim był Geremek w Akademii Nauk w wydziale nauk historycznych. Ja do nich wszystkich nie miałem za grosz zaufania, bo wiedziałem, kto to jest pani Kuratow, a nie Kuratowska. Zresztą nie wiem, czy wiecie, że ona wyszła za mąż za potworną gnidę komunistyczną, za Jaszuńskiego. Nie wiem, jak on się nazywał przedtem, ale ja go nazywałem z Lopkiem wice Martyka. Martyka otrzymał wyrok śmierci z organizacji „Kraj” i była czapa. Opluwał przez radio Polskę. I drugi właśnie miał być Jaszuński. Na skutek tego, że kraj był sparaliżowany, to organizacja... Nie można na nim było wykonać wyroku śmierci, więc jeżeli za takiego człowieka niewiasta wychodziła za mąż, a poza tym była organizatorką życia politycznego w wydziale nauk medycznych w Akademii Nauk. I oni wszyscy. A najgorzej to... Największą niechęć ja żywiłem do Kuronia, bo jako smarkacz byłem w zuchach, inaczej w wilczkach. Myśmy nie mieli lilijki, tylko łeb takiego wilczka. I miałem już odpowiednią ilość – tych naszywek tutaj. – Mówimy o harcerstwie. Tak, tak. I po wakacjach miałem zostać zuchem. Miałem mieć linijkę. I się okazało, że gest Kozakiewicza, facet zrobił czerwone harcerstwo i taka śmieszna rzecz. Jak już to harcerstwo czerwone powstało, to podobno z inspiracji Kuronia. Ze starszych klas. Młodzież wypuszczali na miasto na takie pochody. Ja byłem w szkole na Saskiej i przeszliśmy Aleją Waszyngtona do ronda na Wiatracznej, Grochowską, potem Zieleniecką i do szkoły z powrotem. I taki druh krzyczał: „Towarzysze! Towarzysze z siódmej klasy. Skandujemy: Cieszę miasta się i wioski, że powrócił Rokossowski. Hura, hura!” I to była działalność Kuronia. Więc po prostu trudno było do takich ludzi mieć zaufanie. Wiem, że Wałęsa skakał z jednej opcji do drugiej i do końca nie było zgody, jak należy postąpić po pobiciu Rulewskiego i po pacyficyzacji szkoły pożarniczej. Przy czym historia naszych grup specjalnych, późniejszych Grup Oporu, w zasadzie też ma jakieś korzenie w Bydgoszczy, bo wtedy pierwszy szef naszych Grup Oporu, Andrzej Niedek, czyli „Alek” ze swoimi przyjaciółmi z geologii, oni zaczęli obstawiać na... mówiąc po poznańsku, na zaś, gdyby coś się stało, jakieś zebranie Solidarności. Byli do tego predysponowani po prostu przez przypadek. Otóż tak jak myśmy się uczyli w 50. latach ju-jitsu czy judo z tej broszurki z antykwariatu, bo to było wszystko zakazane dla tych, którzy byli na narodu czele, tak samo czerwonym zależało, mieli jakąś obsesję, żeby nikogo z geologów imperialiści nie porwali, bo to jest wiedza o zasobach naturalnych. I w związku z tym oni mogli formalnie chodzić do klubu Lotnik tutaj, gdzie była szkoła i karate, i judo. I „Alek” właśnie miał swoich kolegów, którzy w ten sposób myśleli. To był początek tej grupy, że tak powiem, ochroniarskiej, która najwięcej zrobiła. Ale powiem szczerze, że nie przypuszczaliśmy, że to nastąpi 13., aczkolwiek byliśmy naiwni. Dlatego, że to była niedziela i zupełnie jak prowokacją było zorganizowanie zjazdu w Trójmieście, gdzie całe naczelstwo Solidarności było w kupie razem. Można było wyłuskać. I zaczęło się od tego, ja wróciłem w nocy z 12. na 13., to było ostatnie polowanie z moim ukochanym psem. Niemen się nazywał. I znowu dygresyjka. Bez dygresyjek nie potrafię. Otóż jak kupiłem pierwszą łajkę, ją do domu przywiozłem, tata miał za złe. „Żebyś ty, cholera, chociaż wyżyła niemieckiego. A takie ruskie bydle”. A ja się zakochałem w łajkach, będąc w Karrelli. Piękne psy do polowań indywidualnych. Jak nazwałem ją Wilia, „Wiesz, ale to mądry jest”, tata powiadał. I potem jak już dostałem w ramach wymiany z Rosjanami, bo im posłałem welsh terriery, bo u nich nie było, jak dostałem szczeniaka i nazwałem Niemen, tata mówi: „Wiesz, piękny pies, piękny pies”. Zresztą dzięki temu psu to ja w ogóle żyję, bo dzik mnie przewrócił kiedyś. Bo nonszalancko strzeliłem do niego, a kiedyś dobrze strzelałem i mu

zdziałem skórę z głowy, a już go miałem pod nogami. I się uratowałem tylko dzięki temu, że go w gwizd strzeliłem lufami. Oczywiście mnie przewrócił, był spory. I wtedy Niemen go złapał za szynkę, ja mogłem przeładować. To tyle, jeśli chodzi o Niemna. Ale taki właśnie jeszcze wątek psi konspiracyjny, że moje łajki tolerowały listonosza, chociaż różne zapachy. Tolerowały wojskowego, ale śmiałem się, że nie mają poczucia świadomości proletariackiej, bo jak ministrant przychodził, to było: „Wrrr!”. I dlatego, jak już potem miałem tutaj drukarnię, to miałem dwuprzedałową budę. I z tyłu budy chowało się maszynę, a tutaj jak ktoś przychodził, w razie czego, to było „Wrrr!”, bo były kochane pieski. I właśnie wróciłem z tego polowania, to było późno w nocy. Ostatniego przy nim dzika strzeliłem. Rano jakiś dzwonek taki, a jeszcze była szarówka. I straszne wycie psów, i szczekanie. Myślę sobie: „Ki diabeł?”. A panowie w szarych mundurach. „Przyszliśmy zabrać wam broń”. „A dlaczego?” „Bo jest stan wojenny”. „A co to jest stan wojenny?”. Zaczęli mi tłumaczyć. Zabrali, ale nie mieli głębi w rozporządzeniu, że mają zabrać całą amunicję. I to nam dużo dało. Bo w późniejszych latach, już nieżyjący Piotrek Rzewuski robił pierwsze wyrzutniki z mojego prochu, jak się amunicję rozkręcało. Tomek, „Wariat” pseudonim, czyli Kubalski, z którym drukowałem, a wariat dlatego że miał pomysły takie, że pershing w każdym domu i zagrodzie. Z moimi synami robili wyrzutniki tutaj na torfiankach. Wyrzutniki po to, żeby było większe BHP, żeby nie rzucać z ręki, żeby z wyrzutni ulotki szły. I tym obuchem w łeb, że to 13., więc do ludzi, z którymi tutaj byłem w jakiejś dobrej komitywie, Czesiek ten Kropielnicki tutaj mieszkał vis a vis, wiedziałem, że jak miał jeszcze bar... Nie pamiętam dokładnie nazwy. Na vis a vis miejsca, gdzie mieszkał Kuroń. Jak przychodzili do niego, bo z tego baru można było patrzeć na dom Kuronia i widzieć, kto tam wchodzi, to Czesiek im stawiał piwo, i mówił: „Panowie, przynieście mi skrzynki”. A potem raczył ich piwem. W ten sposób nie byli tak pod obserwacją. Dalej, jeszcze jak potem poszedł, załatwił sobie pracę ajenta w barze „Hutnik” na Bielanych, to tam w czasie strajku w hucie – woził ludziom jedzenie i ten bar... – „Hutnik”. „Hutnik”, tak. Ale to był ten drugi, bo ten pierwszy na vis a vis Kuronia to się inaczej nazywał. „Hutnik” był na Bielanych. To mniej więcej na wysokości ulicy Toeplitza na Żoliborzu z tyłu, wie pan. I ten bar Hutnik odegrał ogromną rolę na początku konspiracji. Potrzebne były lewe dowody osobiste. Ja pamiętam, że tak gdzieś do marca czy do lutego, to zorganizowałem 25 do 30 dowodów i w drugim rzucie to samo. Tu nim przejdę do naszej struktury właśnie, muszę wspomnieć, że mieliśmy kapitalnych dwóch kolegów do legalizacji, którzy... To dosłownie satyra, dopiero jak w 2009 roku wręczałem pamiątkowe odznaki Grup Oporu, to chłopaki się poznali. „Alek” sprawdzał z kolegą o nazwie „Kocioł” pseudonim, na sobie te lewe dokumenty. Zdawał egzamin. Jakie tutaj się zaczęły dziać rzeczy strukturalne? Mianowicie... Teraz może, zanim byśmy przeszli do struktur, tego rodzaju struktur, to mam dwie rzeczy wypisane jako z grudnia 1981 roku, czyli temat skoku na biuro budowy pomnika Powstania Warszawskiego. – Czy to było wcześniej? – Nie, nie, nie. Dobrze. Otóż w czasie tych pierwszych działań, takich trochę po omacku, jakichś zaczątków struktury wśród znajomych, bo to ludzie, którzy normalnie myśleli, zaczęli się łączyć, w ramach hasła niemarksistowskiego: „Kulturalni ludzie wszystkich krajów, łączcie się!”, 14. chyba pojechałem do tego punktu w Alejach, gdzie meldowałem się zawsze u przełożonych z Kedywu i wiedziałem, że mój dobry kolega z jaskiń, Janusz Onyszkiewicz, działał, więc zapytałem się. Mówię: „Czy wiecie, co jest z Onychem?”. „A, internowany”. Ale oni od razu podjęli temat ewakuacji z Długiej. Chyba to było 29, było biuro pomnika Powstania Warszawskiego. Sytuacja o tyle była sprzyjająca, że moi rodzice mieszkali na Długiej. I teraz tak, patrząc z Długiej w kierunku Miodowej albo z bramy u moich rodziców, wiadomo było, trasa pusta, można było brać paczki i wynosić. I na tym spotkaniu narysowali mi rozstaw mebli, co jest w tych meblach, jakie są priorytety w wyjmowaniu i przed wyjściem ja kilkanaście razy różne fragmenty rysowałem sobie, żeby mieć w szarych komórkach, a potem to ciotka podarła i włożyła do pieca, bo to był taki normalny piec kaflowy jeszcze. I umówiłem

się tam z Lopkiem w Alejach. Pojechaliśmy. Lopek przywiózł ze sobą watę z denaturatem, odmoczył te pieczęcie. Miał klucz, więc normalnie weszliśmy, tak jak w godzinach jego urzędowania. Co trzeba było, wynieśli. Tam były jakieś drobne sumy, bo ci nasi wiedzieli, co się święci i główną kwotę to pułkownik Rybicki, że tak powiem, ewakuował na kilka dni wcześniej dla potrzeb konspiracji. I te paczki powędrowały do moich rodziców na Długiej. Dopiero po Wielkiejnocy przerzucił je samochodem Czesława Kropielnickiego, właśnie do Lopka. I to jest taka brzydka historia, dlatego, że od Lopka tej akcji na pamiątkę dostałem żółty afisz, promujący budowę pomnika. Jak tato zmarł, najpierw mama, potem ojciec, to ja część ksiąg uważałem, że te rzeczy są wartościowe, przekazałem do Archiwum Akt Nowych. Tylko niedobrze mieć czasami zaufanie do ludzi i nie zrobiliśmy spisu tego wszystkiego. I dałem ten plakat. I jak potem poprosiłem o spis tego, co przekazywałem od mego taty, u Mariusza, to tego już nie było. To tak jak powiedział mi kościelny w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej: „Panie Bolek, widzisz pan, na obrazach to święci mają ręce do siebie, a nie od siebie. I ja dlatego księdzu muszę wino wypijać”. I tak samo z tym plakatem było. Ręce do siebie. I tak się zaczęło, że zarysowaliśmy następnego dnia plan działań. Tutaj bardzo pomocne było doświadczenie konspiracyjne ludzi z Armii Krajowej, którzy przeszli przez straszliwą okupację. I nawet kiedyś miałem taką bardzo, nazwijmy to delikatnie, polemiczną rozmowę z Ramotowskim, bo on na jakieś szkolenie poakowskiej organizacji poszedł i stwierdził, że to się do niczego nie nadaje, bo nie na czasie. To chyba, że się chciał robić, tak jak Blumsztajn i chodzić pół dnia po Warszawie, żeby potem siąść i żeby być bohaterem, to tak. Ale myśmy, na przykład swoich chłopaków do takich grup najbardziej predysponowanych do trudnych zadań, z „Alkiem” uczyli tak jak robili to akowcy. Dostawał gość jedną lub dwie cegły i chodził po Warszawie. Inni zanim chodzili i patrzyli, jak się zachowuje. Jak widzieli patrol ZOMO. A wiedział, że przenosi ulotki czy bibułę. To było bardzo ważne. Jak mieliśmy odbijać Janka Narożniaka, to zrobiliśmy z „Alkiem” taką historię, że powiedzieliśmy chłopakom z jednej z grup: „Słuchajcie, mogą strzelać. Chłopaki, tylko na ochotnika. Mamy w szafie przewieźć faceta z listem gończym. Kto idzie?” I kilku się zgodziło. I ci ludzie, którzy się zgodzili, potem zrobili kocioł na Miastkowskiego, tego agenta. – I zaraz... – Bo jeszcze było jedno wydarzenie – na peronie PKP w Pruszkowie. – To wszedł... Tak. Przed Bożym Narodzeniem, dzięki temu, że... Nie wiem, jak to się nazywało, w oazach taki przywódca grupy młodzieży, w której był mój najstarszy syn, Andrzej Lotowski, kończył Technikum Kolejowe. I pokazał nam z Kropielnickim, tam pojechaliśmy do niego samochodem, gdzie się można przypiąć do nagłośnienia na peronach, gdzie się podawało godziny odjazdów lub przyjazdów. I całe szczęście, że w czasie jednego z takich moich wojaży, tych antarktycznych, na Wyspach Kanaryjskich kupiłem kieszonkowy, nawet mniejszy od tego, magnetofon. Było tam nagrane przemówienie satyryczne Jaruzelskiego i to przemówienie było zakończone „Polką Jaruzelką”. Ja już słów nie pamiętam, ale wiem, że końcówka refrenu to było mniej więcej: „Kapusta, sałata i brukselka to jest polka jaruzelka. Kto to śpiewa, ten jest swój, kto donosi, ten jest chuj”. I jak ta audycja poszła tam między 16:00–17:00, kiedy ludzie wracali z Ursusa, to wychodząc z dworca, śpiewali: „Kto donosi, ten jest chuj”. I to... – Czyli po prostu udało się... – Udało się tę audycję zrobić. Nie przypuszczali tajniacy, ganiłi tam, w końcu porozwalali te głośniki, że myśmy się wpięli przy ziemi i śniegiem przyprószyli w rozrządni. W takiej dużej odległości od dworca. – I to był dworzec w Pruszkowie. – To był dworzec w Pruszkowie, tak. – W grudniu 1981 roku. – 1981 roku. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem to było. Takie były pierwsze początki nasze. Bo też tutaj mam zanotowane, że również przed Bożym Narodzeniem udało się panu skontaktować właśnie z „Alkiem”. Tak. Więc właśnie zacząłem mówić od tego, że „kulturalni ludzie wszystkich krajów, łączcie się”. Początkowo, że tak powiem, myśmy się macali co, kto może i co kto myśli, i ja to miałem właśnie tego zaprzyjaźnionego Cześka Kropielnickiego z baru „Hutnik”. Marysię Dziewońską, która pracowała w Młochowie, w Instytucie Ziemniaka. Myśmy się

dogadali, bo w czasie okupacji mieszkaliśmy cztery kilometry obok siebie. Ona potem prowadziła bibliotekę. Tutaj miałem takich kilku znajomych. Wiadomo było, jak ludzie myślą. I ponieważ żona już przed Bożym Narodzeniem poszła do pracy, pracowała na Pasteura w Instytucie Parazytologii, i razem z nią siedział przy biurku Krzysiek Zdzitowiecki, z którym się wspinałem, z którym byłem – na jednej wyprawie antarktycznej. – Krzysztof Zdzitowiecki. Zdzitowiecki, tak, który mieszkał na Saskiej Kępie na Styki. I coś oni się zgadali na temat tego, co się dzieje, że tak powiem, się wyczuli, jak pies sukę w czasie ciecarki, że tak samo myślą i Krzysiek powiedział: „Wiesz, to niech Bolek do mnie przyjdzie. Tam tego, tego, to pogadamy. Mam też w rodzinie, który tak samo myśli”. I przyszedł właśnie wtedy Andrzej Niedek z Anką Lachowską. Właśnie ten od judo, od karate, który w czasie spotkania powiedział, że początkowo też działali tak na łapu-capu i do końca konspiracji bił się w piersi, że popełnił błąd, bo byli wcześniej rano na Mokotowskiej w regionie i wynieśli nie tylko duże ilości papieru, ale składopis amerykański, który potwornie drogo kosztował. Dzięki, któremu można było robić matrycę. Cudeńka poligraficzne. I oddali ludziom z tak zwanego drugiego KOR-u. Czyli typu Geremek czy panna Chaberówna, potem Helena Łuczywo, jak wyszła za mąż. I to... „Alek” sobie nie mógł darować. Mało tego, kolega o pseudonimie „Gruby”, nazwisko Izgarszew, to też są piękne historie ludzkie. Jego dziadek, doński kozak, w latach carskich tutaj był w Warszawie, tak mu się spodobała polska swoboda, że tu został, nawet tam pochowany jest na Bródnie i „Gruby” był bardzo chłopakiem walecznym. Wciągnął wcześniej w czasie działalności jawnej swoją siostrę, która pracowała w regionie i w związku z tym... Może to był 15 grudzień. Na zeslipowanym jachcie na Czerniakowie, w Warszawskim Towarzystwie Wioślarskim podłączyli agregat i drukowali pierwsze ulotki. Te ulotki... – Na Wiśle. – Tak. Na starorzeczu tutaj był ten, na tym jachcie. I te ulotki były adresowane do wojska, do żołnierzy. W ramach przekazywania archiwum do Mariusza Olczaka, to te ulotki poszły, zachowały się niektóre. I takie zaczęły się początki, że myśmy działali początkowo w rozproszeniu. Jacek Cibor, też dżudoka, fantastyczny chłopak, zrobił zebranie chyba w jakimś teatrze na Żoliborzu dla zagranicznych dziennikarzy. Między innymi był tam taki Olaf. Ja go poznałem wcześniej przez nieżyjącego Jurka Zieleńskiego, – pierwszego redaktora Solidarności. – Tygodnika. Jurka poznałem w czasie wyprawy do jaskiń i potem do Kłodzka, gdzie pracowaliśmy w podziemiach. I po powrocie z ostatniej wyprawy antarktycznej, jak wracałem od rodziców, w autobusie patrzę, Jurek jest. Zresztą wtedy nie wiedziałem, że on w 108 siedzi. I niestety Jurek nie wytrzymał psychicznie. Podobno popełnił samobójstwo. Nie wiem. Mam nawet jego zdjęcie z Kłodzka, jak zjeżdża na linie. Z tego, co wiem, to albo wyskoczył, albo druga wersja, że ktoś mu pomógł. Tak jak u nas, Długi Piotr popełnił samobójstwo, niewiasta od Suchego w Wołominie też nonszalancko wypadła, więc to...

Artur Kłus: Jeszcze wracając do tego początku tej relacji z Andrzejem Niedkiem, to jak pan się z nim spotkał w okolicach Bożego Narodzenia, to już jego grupa istniała?

Bolesław Andrzej Jabłoński: Jego grupa licząca 20-kilku chłopaków, którzy właśnie byli zaangażowani w likwidację tego wnętrza w regionie, żeby coś się da uratować, właśnie już zaczęła tę działalność. Ja miałem do dyspozycji około 50 osób w rejonie Warszawy i najbliższym otoczeniu z tej informacji defensywnej, którą miałem ze względu na księdza prymasa i akowców. Tak że już zebrało się spore grono. I „Alek” mi zaproponował, mówi: „Słuchaj, no, nie masz 20 lat, wprawdzie sprawny, ale mieszkasz poza Warszawą. Trzymaj archiwum. I trzymaj jednocześnie rzecz, którą możesz, mianowicie transport, bo Czesiek, i tę informację”. Ale to już pękło. Dlatego, że nie było, że tak powiem, ludzi do pracy. Ale jeszcze muszę wrócić do informacji, do początków informacji, która rzutowała na dalsze

nasze stosunki między grupami a Bujakiem. Otóż w końcu stycznia niezależnie od tego, że była bardzo udana akcja ulotkowa, ja treść tej ulotki mam. Pokażę, bo jest nieprawdopodobnie aktualna. Dotyczy gazociągu. Tak zwany Mazur. To dostałem informację ciekawą, że w Rembertowie na parkingu milicyjnym grupa Miastkowskiego zdemolowała około 20-kilku Starów 66. Byłem podekscytowany, fajne chłopaki. Ale mnie ostudził Kwieciński. W końcu szef kontrwywiadu. Mówi: „Słuchaj, dowiedz się, w jakim stanie one były i kto pilnował”. Co się okazało? Że miały być zezłomowane. I to zaczęło nam śmierdzieć. Zaczęliśmy obserwować pana Sławomira. – Miastkowskiego. – Miastkowskiego. No i to było jeszcze lato, kiedy myśmy już wiedzieli, o co chodzi po trochę niefrasobliwym nagraniu audycji Zbyszka Romaszewskiego, ja myśmy dom obstawiali w czasie takiej audycji, to była zasada: Wychodzi Romaszewski, potem ktoś, który według niego jest najodważniejszy i w kolejności ludzie mniej ważni. A tutaj wyszedł Miastkowski. Wyszedł Miastowski, a nas było poniżej dziesięciu, a tam chyba ze 2–3 budy i jeszcze jakieś suki przyjechały. Byliśmy bez szans. Ja dałem informację o tym do regionu, że to mi po raz drugi śmierdzi. Ulali tę historię i postanowiliśmy z „Alkiem”, że trzeba dorwać Miastkowskiego, – żeby go wziąć na spytaki. – Jeszcze powiedzmy wcześniej, w skrócie historię Miastkowskiego. Kto to był, jakie było, żeby to było jasne. Miastkowski był agentem ubiackim, który wcisnął się w struktury, robotnicze głównie, Bieleckiego, pseudonim „tysy”, dzięki temu, że miały być rzucone jakieś ulotki, nie było powielacza. Sławek mówi: „To ja załatwię, u nas w robocie jest”. – I poszedł. Oczywiście, że... – Ten Bielecki? Nie, nie, nie. Powiedział do Bieleckiego. Sławek. I poszedł oczywiście do roboty, tylko wiadomo jakiej. Ulotki nakręcili. No fajnie, ma chłop dojścia, cenne. Ale... I po Rembertowie, i po przyskrzynieniu Zbyszka Romaszewskiego, już nam zaczęło potwornie śmierdzieć. I stwierdziliśmy z „Alkiem”, że najwartościowsi ludzie, ci, którzy byli przećwiczeni w przewożeniu człowieka w szafie, że mogą być strzały. Ludzie odporni psychicznie. Że zmontują jakieś spotkanie. I to spotkanie zmontował Wojtek Macioszczyk, kolega „Alka” z geologii i od tej pory miał pseudonim „Kociół”. W nawiązaniu do tego kotła Miastkowskiego. To był 1982 rok i jeszcze w pełni władz umysłowych był Kwieciński. Odbyłem z nim wstępną rozmowę, o co tego drania mam pytać. I kiedy już był w kotle Miastkowski, „Alek” niepotrzebnie chciał być zsubordynowany i zachować lojalność wobec regionu. Poszedł do kontaktu, gdzie była informacja do Bujaka przekazana, że Miastowski jest w kotle, i biust, i ręce nam opadły, jak to się mówi. Przyniósł karteczkę, takie pół zeszytu w kratkę, kartka wyrwana i treść była mniej więcej taka: „Sławku, jeśli jesteś ubolem, to daj nam spokój i odejdź”. Kurza mogiła. Taka okazja, prawda? Ponieważ to była decyzja szefa regionu, a myśmy wtedy jeszcze jako tako Bujakowi ufali, myśmy się podporządkowali. Aczkolwiek to nie był koniec jeszcze zerwania z Miastkowskim. Bo ja pomijam takie dwie rzeczy, które były naszymi osiągnięciami. Mianowicie audycja, gadała na Gloria Victis, gdzie kabewiacy w prawo zwrot, odchodzili, a my tę gadałem na górę i to nawet Jarek Wróblewski mnie zainspirował, żeby o tym napisać do tego miesięcznika, który jest na Mokotowie, bo różne były wersje tego wydarzenia. – A to się naprawdę udało. – Proszę opowiedzieć. Bo to też perypetie były. Mianowicie wtedy jeszcze była tak zwana grupa techniczna z regionu. Jeszcze nie mieliśmy wszystkich struktur. A grupa techniczna zabezpieczała przecież wszystko. Rozumiem, jesteśmy wiosna, 1982 rok. Tak. To poprzedzenie audycji 1 sierpnia, to trwało jakieś dwa tygodnie. I dowiedzieliśmy się, że „tysy”, czyli Bielecki zmontował dwie taśmy z całym programem, bo tam były i wiersze Wierzyńskiego, i przemówienie Bora Komorowskiego, było przemówienie Bujaka, pieśni patriotyczne. I ktoś dostarczył właśnie z grupy technicznej, tej niby regionu dwie gadały takie. Dwie zielone skrzynie, żeby się nie rzucały w oczy. Ciężkie to, po 40-parę kilo. I jak tutaj „Alek” je przywiózł od Czeška Kropielnickiego to się okazało, że nie mają baterii, teraz problem. Słuchajcie, to było tak trudno zdobyć baterie, że „Alek”, żona i ja wśród znajomych myśmy przez kilka dni zbierali baterie, takie paluszkowe musiały być, żeby chociaż jedną gadałę uruchomić. Dlatego, że można było baterie kupić

w Pewexie, ale myśmy dolarów nie mieli, psia kość. I uruchomiliśmy tylko tę jedną gadatkę. To było na takiej zasadzie, że jak żołnierze odeszli, to momentalnie na komendę „Alka” „Naprzód!”, była żywa drabinka i Jacek Cibor na górze, i z brzucha ją ustawił, i moment napięcia, czy jakoś krzywo nie stoi, czy się igła na taśmę nie obsunęła. To było nerwowe oczekiwanie, a tutaj: „siekiera, motyka, bimber, szklanka”. – No i, psia kość, jest. – To było tak, że wszyscy słyszeli? Wszyscy. Wszyscy słyszeli. Ja parokrotnie okrążałem z daleka, żeby widzieć, co się dzieje. Entuzjazm ludzi był coraz większy, bo to 1 sierpnia ludzie przychodzili na mogiły swoich. – I to było na Powązkach. – Na Powązkach wojskowych. I znamienna rzecz, że tak, Jacek miał berecik taki z antenką, więc go szybko tam gdzieś do jakiegoś grobu rzucił i „Kocioł” go przez kilka godzin jeszcze asekurował na wszelki wypadek, a po kilku tych rundach, pojechałem najpierw do rodziców, bo byli zaniepokojeni. Byłem pełen podziwu dla przebiegu informacji akowskiej. Rodzice już o tym wiedzieli. Że się udało. Że nikt nie siedzi. I potem następny punkt to był zameldować się właśnie u „Lopka”, u „Lotnego”. To aż mi było przykro, tak mnie uściskali ale znamienna rzecz, jak prosili, żeby wszystkim pogratulować, którzy brali udział poczynawszy od robienia tej gadatki i audycji, to „Lopek” powiedział tak: „Słuchaj, ja też zaczynałem od małego sabotażu. Jeszcze kilka takich akcji, a przygotuj się z ludźmi na poważniejszą robotę”. A „Lopek” był między innymi od wykonywania wyroków przeciw. I po tej audycji dostałem dwa pistolety z tłumikami, i pomogli nam uruchomić w sumie pięć punktów zbrojówki, gdzie w każdej był RKM przynajmniej z jednym pełnym magazynkiem, jeden pistolet. Dwie takie zbrojownie były w Warszawie, trzy poza Warszawą. Nie zostały one wykorzystane, chociaż niewiele brakowało. Jeśli można wybiec w przyszłość, to byliśmy w pogotowiu w okresie „okrągłego stołu z Rafałem”, czyli „108” i z „Alkiem”, gdyby czerwoni się zupełnie ze wszystkiego wycofali. A druga rzecz to już była bardzo bliska. Chyba jeszcze wcześniejsza, przepraszam, wcześniejsza znacznie. To po śmierci księdza Jerzego, w ramach odwetu. Jedna osoba była rozpracowana na zasadzie rytmu dobowego. Była bardzo łatwa, bo facet chodził między 14:00 a 15:00 do jakiejś jadłodajni czy restauracji na rogu Pankiewicza i on miał być po prostu załatwiony na zasadzie wprawki, treningu, bo nie strzelaliśmy do tej pory do ludzi. A potem dwóch panów z góry miało pójść, Jaruzel i Kiszczak. Tylko jeden z zaprzyjaźnionych księży nam powiedział: „Słuchaj, Bolek, Jurek by powiedział: „Zło dobrem zwycięża”. I na takie dictum po prostu nie wypadało. Tak się skończyła ta nasza zbrojeniówka.